

Andrzej Wiktor Polakowski

Zamiast rekomendacji

Imperatyw z zaświatów



Przekazuję Pani Teresie reporterski zapis naszych rozmów, spotkań i epizodów współpracy w dowód sympatii i uznania, jako promocyjne świadectwo Jej wiedzy, talentu i życzliwości...

Andrzej Wiktor Polakowski



Znana białostocka terapeutka – Teresa Toczydłowska w swojej pracy wykorzystuje i rozwija przede wszystkim zestaw własnych programów autorskich opartych na holistycznym podejściu do człowieka i jego otoczenia w terapii równoważenia psychosomatycznego. W ich uzupełnieniu stosuje klasyczne techniki psychoterapii, ćwiczenia z kinezylogii, „dotyk dla zdrowia”, muzykoterapię, artterapię, psychorysunek, „obrazowanie wewnętrzne”, elementy hipnozy, aromaterapii, akupresury, psychografologii i szereg innych. Wspomaga je naturalnymi produktami opartymi na ziołach, olejkach i minerałach. Wysoko ceniona jest za skuteczność w przywracaniu równowagi psychosomatycznej w stanach depresji, lęków, we wspieraniu procesu odwykowego, redukcji otyłości i uśmierzaniu bólu. Doświadczeniami ze swojej pracy dzieli się na forum Polskiego Towarzystwa Lekarskiego jako członek Sekcji Medycyny Psychosomatycznej i Stowarzyszenia Terapeutów Pedagogicznych.

W rozedrganym świecie

– Poszłam na psychologię żeby więcej zrozumieć i nauczyć się lepiej wspierać ludzi – wyjaśnia pani Teresa. – Jednak nie w pełni jeszcze świadomy wybór zawodowej drogi nastąpił chyba znacznie wcześniej. Już w podstawówce koleżanki

częściej niż innym powierzały mi swoje sprawy, prosiły o rady. Może to kwestia aury czy biopola, którym emanujemy; energetycznego wizerunku człowieka (wykorzystywanego w skali narządowej np. do wykonywania ekg czy eeg). Jednak w najprostszej postaci składającego się na obraz wewnętrznej pogody i zewnętrznego uśmiechu budzącego zaufanie i ciepłe skojarzenia.

Teresie Toczydłowskiej szczęśliwie trafił się chyba taki model energowzorca z górnej półki. Ukończenie Medycznego Studium Zawodowego i specjalizacji z zakresu pielęgniarstwa oraz położnictwa środowiskowo-rodzinnego przestało jej wystarczać. Żeby umieć jak najlepiej spożytkować predyspozycje uzupełniała wiedzę na Uniwersytecie w Białymstoku, gdzie ukończyła Podyplomowe Studium Terapii Pedagogicznej, w Wyższej Szkole Psychologii przy Rosyjskiej Akademii Nauk, w Amerykańsko-Rosyjskiej Akademii „Intercollege” na wydziale Parapsychologii, wreszcie w Studium Kultury i Oświaty w Warszawie. Seria międzynarodowych szkoleń z kinezylogii edukacyjnej metodą Dennisona, arteterapii, dotyku dla zdrowia nie były jedynymi źródłami pogłębiania wiedzy o nowe osiągnięcia poznawcze, toteż abecadło fizyki kwantowej w organizmie coraz mniej ma przed nią tajemnic.

Dostrzegła już dawno, że wszystko jest energią, wywołuje drgania, ma swoją częstotliwość, rezonuje albo wpada w dysonans. Każda komórka ciała ma swoją energetyczną charakterystykę. – A emocje, stresy, niepokoje? No właśnie! One z kolei generują i emitują zdecydowanie negatywną energię, którą trzeba neutralizować, usuwać, żeby nie poczyniła spustoszenia w naszych organizmach i otoczeniu. Czym się to robi? Najogólniej rzecz ujmując, także energią.

Nawet olejki, których terapeutka używa do aromaterapii emitują pewne vibracje. Także częstotliwość fal otaczających nas kolorów czy dźwięków można zmierzyć i przekonać się, że nie jesteśmy na nie obojętni. Stąd cały zestaw autorskich i adaptowanych pomysłów leczniczych terapeutka opiera na zasadach przywracania energetycznej harmonii zarówno w organizmach jak i w środowisku. W tym celu np. olejki terapeutyczne, których używa (bardzo czyste, służące m.in. do działania wewnętrznego), są tak skomponowane, żeby charakteryzowały się wi-

bracjami podobnymi do konkretnie zdefiniowanych, pożądaných emocji, przykładowo: odwagi i męstwa czy radości. Wtedy zmysł powonienia zestresowanego pacjenta odbiera te bodźce i przekazuje do mózgu, który zaczyna funkcjonować w podobnych częstotliwościach i poprawia nastrój.



Teresa Toczydłowska przedstawia grupce swoich pacjentek idee i zasady zapowiadane go szkolenia terapeutycznego.

W książce „Uważaj na myśli, słowa i obrazy” pani Teresa zwraca uwagę na te nośniki energii i rezultaty ich oddziaływań, które potrafią zaśmiecać środowisko mentalne. Ileż to razy sprawdza się powiedzenie: „Uważaj o czym myślisz, bo może ci się to zdarzyć” albo „nie prowokuj losu” w sensie: nie projektuj fatalnych zdarzeń poprzez splot swoich zachowań.

Często bezwiedne „zapisy” incydentów z dzieciństwa leżą u podstaw różnych lęków, fobii, wzorców oraz blokad kształtujących nasze zachowania przez całe życie, chociaż nie umiemy tego powiązać z tamtymi epizodami. Gdy rodzimy się, mamy prawie czystą kartę, chociaż stany emocjonalne matki jeszcze przed porodem mogą kształtować pewne kody. Później, pod wpływem stresów, dziecię-

cych przeżyć, przybywa pierwszych, najtrwalszych doświadczeń, niestety często negatywnych. Z czasem ich liczba rośnie i zawisa nad głową jak chmura gradowa.

– Nasz umysł nie za bardzo rozróżnia negatywne bodźce rzeczywiste od tych wyfantazjowanych – komentuje terapeutka. – Na moich spotkaniach w rozmaity sposób próbuję osłabić destrukcyjny wpływ takich hamulców. W autorskich technikach czasami wprowadzam coś w rodzaju cofnięcia filmu z życia i wymazania albo wymiany niektórych jego kadrów zawierających zbędne i destrukcyjne informacje. Bywa niejednokrotnie, że ktoś zgłasza coś dokuczliwego, a podczas badania okazuje się, że to tylko wierzchołek góry lodowej. Zaczyna mówić o wszystkim, o czym nikomu nie wspomniał, wyrzuca z siebie ból, cierpienie, pretensje, złość, żal, niepokój. Próbujemy ten balast wspólnie nazwać, wskazać jego źródło. Dalej jest już z górki, bo wiem jak się do tego zabrać i rusza współpraca.

Tę diagnostyczną fazę, a następnie współdziałanie z chorym, widać wyraźnie w terapii przez sztukę. Bywa ona bardzo użyteczna tam, gdzie utrudniony jest kontakt werbalny; gdy komuś trudno mówić o swoich emocjach albo wydaje mu się, że nic z tej dziedziny nie pamięta. Wyprowadzenie podobnych stanów, ich kontekstu, kolorytu i presji zjawisk na zewnątrz organizmu oraz utrwalenie ich w postaci zapisu, rysunku, szkicu, symbolu pozwala ujawnić, oczywiście przy pewnej wprawie, ukryte dotąd w podświadomości problemy.

Pracując z tą osobą można nanosić poprawki w tak powstającym graficznym rejestrze, ale wyłącznie jej ręką i z jej woli, chociaż czasami po podpowiedziach i naprowadzeniach terapeutki. Zaczyna to działać na zasadzie sprzężenia zwrotnego. Co pacjent wprowadził, a następnie skorygował swoją ręką, niejako programuje jego życiowe zmiany. Namiastkę tego procesu udaje się niekiedy dostrzec bardzo szybko.

Upraszczając: – Za pracę rąk odpowiada duży obszar mózgu – tłumaczy pani Teresa. – Stanowią jakby jego przedłużenie. Jeśli coś wydobywamy z siebie, tworzymy, to odtwarzamy ślad zapisany we własnym umyśle, a jeżeli ten zapis zmieniamy, wprowadzamy także korektę tam, u źródła. Podobnie zresztą bywa z podpisem, o czym mógłby sporo powiedzieć każdy grafolog.

Jeśli terapeutka korzysta z hipnozy, to raczej na tyle płytkiej, żeby pacjent czuł i słyszał co się dzieje. To ważne. Przecież powinien sygnalizować doznania, niedosyt, wrażenia, odczucia. Dla pani Teresy mowa ciała czy modulacja głosu mają istotne znaczenie, podobnie jak intonacja, wysokość dźwięku, potoczność wypowiedzi. Jej sztuka polega na tym, by odczuwać tak jak pacjent, identyfikować się z nim, ale samemu nie poddać się emocjom, które tak mu dokuczają. Nie ulec własnej wrażliwości, a utrzymać się w neutralnym stanie jako obserwator. Tego zresztą uczy także pacjentów – dystansu do własnych problemów, co skłania do trafnych przemyśleń i decyzji.

Psychologia kręgosłupa

– Iluz mam pacjentów z dolegliwościami kośćca – wzdycha terapeutka. – Powiedzmy, że radiolog znajduje na kliszy jednego z nich zmiany zwyrodnieniowe odcinka L-4, L-5. My spójrzmy chłodnym okiem „psychologa kręgosłupa”: dolegliwości w tych miejscach łączą się z brakiem perspektyw, bezsilnością, niezdecydowaniem, lękiem o pracę, brakiem komunikacji, porozumienia. Z reguły, gdy pracując dotykiem i masując plecy dochodzę do odcinka krzyżowo-lędźwiowego, pacjent zaczyna nagle opowiadać: „Z córką nie mogę znaleźć wspólnego języka...” albo „Mąż nie potrafi zrozumieć, że...” Takie reakcje dodatkowo potwierdzają trafność moich diagnoz.

Gdy zaczęły się psuć sygnalizowane relacje, w tym odcinku pojawiało się większe napięcie, mniejsze dokrwienie, gorsze odżywienie kości. Felery kręgosłupa szyjnego ilustrują zaś nasz odbiór codzienności w dłuższym okresie. Mogą kumulować skutki ucieczki przed problemami, ciężarem życia, niskiej samooceny; może być tu nagromadzony balast emocji i napięć, co odczuwamy i w barkach. Czasami zaś odwrotnie: branie na siebie za dużej odpowiedzialności, zbyt wielu obowiązków – rodzaj syndromu męczennika.

Czy można to naprawić? Zwykle tak, ale w długim okresie czasu, z dozą wytrwałości, gdyż kości regenerują się powoli. Podobnie jak nerwy, o których niedawno jeszcze powiadano, że nie poddają się takim procesom. Ważna jest zmiana nastawienia do samego siebie i od niej trzeba zacząć, co, po przełamaniu oporów, będzie miało pozytywny, naturalny wpływ na całe otoczenie.



Zabieg relaksacyjny przeprowadzany u Edyty Rutkowskiej

O swoich standardowych niejako zabiegach Teresa Toczydłowska mówi: – Poznanie psychiki człowieka, wyczulona intuicja, empatia, pomagają mi w sposób psychoterapeutyczny, a czasami energoterapeutyczny, dostroić się do konkretnej osoby. Rodzaj wrażliwości powoduje, że po zbliżeniu ręki do chorego miejsca odczuwam rodzaj klucia czy inny sygnał potwierdzający infekcję bądź rodzaj dysfunkcji. Osłabiony organ jakby przyciągał uwagę rodzajem funkcjonalnej pustki. Równocześnie udaje mi się wiedzieć jak pacjent myśli, jak czuje, reaguje, co powoduje jego ból i o jakim napięciu. Niekiedy zresztą dotyczy to całej rodziny, gdy w grę wchodzi zaburzenia relacji między jej członkami.

Prawie utożsamiam się z osobami, którym pomagam i tym łatwiej mi z nimi współdziałać przy usuwaniu schorzeń, blokad, bólów. Udaje mi się sięgać w głąb duszy, znajdować ślady zdarzeń dawno zapomnianych, ale przez podświadomość utrwalonych. I poprzez analogię do komputerowych zawirusowań, uszkodzone pliki wyczyścić, przywrócić prawdziwy wzór, z jakim urodził się konkretny człowiek. Czasami ta odbudowa trwa dziesięć minut, pół godziny, ale niekiedy potrzeba więcej czasu, przygotowań, doboru dodatkowych metod, żeby skutecznie pomóc. Na przykład masażu dźwiękiem misy tybetańskiej dla przywołania wibracji naturalnych dla tego organizmu.

Leżąca na łóżku zabiegowym Edyta Rutkowska potwierdza: – Czuję wielką przyjemność, lekkość i subtelne wibracje we mnie i wokół... Jakby koliste fale wywołane kroplą padającą na nieruchomą taflę wody rozchodziły się w przestrzeni. Znakomite odprężenie. Akumulator naładowany, aż się chce walczyć z przeciwnościami losu i pokonywać przeszkody.

Znajomi są podobnego zdania. Nawet teraz, w poczekalni, rozmawiamy o tym, a dodatkowe okazje do wymiany zdań stwarzają zajęcia warsztatowe arterterapii czy szkolenia nt. jak poradzić sobie ze stresem, które w swoim białostockim Centrum Terapii i Edukacji ANTER organizuje pani Teresa.

Edyta Rutkowska zna już scenariusze takich zabiegów. Dawno, przy pierwszych wizytach, tak jak chyba wszyscy nowi pacjenci, przeszła fazę wywiadu, rozmaitych psychologicznych testów, serdecznych bezpośrednich rozmów naprowadzających na istotę problemu. Także na źródła fizycznych albo psychicznych zakłóceń tkwiące niekiedy w odległych latach wczesnego dzieciństwa, kiedy podświadomość utrwaliła ślady różnych epizodów, odzywających się dziś echem w zaskakujących, często destrukcyjnych impulsach.

Tym razem pani Edyta kładzie na się materacu i rozluźnia oczekując z przymkniętymi oczami na chwilę wprowadzania wizualizacji. Wspólnym staraniem uruchamiana będzie wyobraźnia, żeby wywołać korzystne, optymistyczne skojarzenia dla przeciwwagi temu, co złego zdarzyło się uprzednio. – Ja to nazywam obrazowaniem wewnętrznym – komentuje terapeutka. – Nawet pisałam na uniwersytecie pracę z tego tematu. Proszę zważyć, że nasza podświadomość po-

rozumiewa się za pomocą symboli – to jej język. Warto tę wiedzę wykorzystać, podrzucając jej odpowiednie obrazy. Mówiąc w uproszczeniu: u kogoś nieśmiałego, zależnionego, przegranego, warto wywołać w głębszym stanie relaksacyjnym skojarzenia z hasłem: „sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem”.

Pacjentka rozluźnia się na łóżku do masażu ze specjalnym matercem z łuską gryki, poprawia pod głową poduszkę wypełnioną łuską orkiszu. Reguluje oddech, wyluzowuje ciało na końcówkę „firmowego” zabiegu relaksacyjnego z wymianą fatalnych dla zdrowia kadrów z filmu życia. Po chwili mówi:

– Znamy się z panią Tereską już 5 lat, ale tutaj normalne jest, że wszyscy zaprzyjaźniają się niemal natychmiast. Spotkałyśmy się przypadkowo i... efekty okazały się niesamowite. Choćby w fundamentalnej sprawie, która stresowała mnie od dawna: nie mogłam zajść w ciążę. Miałam 38 lat, czułam się przegrana. Wystarczyły trzy spotkania i... Krystian ma dwa i pół roku, jest rewelacyjnym facetem i woła do pani Tereski ciociu!

– To nie żaden cud – wyjaśnia terapeutka. – Po prostu znalazłyśmy blokadę psychiczną, którą usunęłam. Takie sukcesy udaje się osiągnąć po trafnym wskazaniu źródła zahamowań, które mogło trwać dziesiątki lat. Zdarzył się i taki przypadek, że pacjentka, jako mała dziewczynka, bardzo przeżywała rozstanie z ojcem, który odszedł w nieznane. Podświadomość zarejestrowała ten wstrząs jak sygnał, by nikomu już takiego losu opuszczenia i bólu nie zgotować. Musiałam niejako wymazać z podświadomości ten incydent i hormony zagrały...

Edyta Rutkowska: – Teraz wpadam tu, do ANTER-u, niemal rutynowo i już od drzwi melduję: – Pani Teresko, szybki rentgen proszę! Wiem, muszę to przetłumaczyć na polski: jeśli czuję, że coś mnie boli tu czy tam, idę do przeglądu... No, na kontrolę. Jeżeli nie jest to wielka awaria, po badaniu okazuje się co nawaliło, dostaję dietetyczne wskazówki albo radę co zmienić, na co uważać.

– Jak w serwisie na diagnostyce?

– Lepiej! Organizm jest usprawniony, po wnikliwej kontroli technicznej, a ja jestem zaopatrzona w zalecenia.

– Olej wymieniony też? – Śmiejemy się z tych motoryzacyjnych porównań, ale funkcja rodzinnego terapeuty, choć nikt jej tak nie definiował, ma swoją specyfikę. Czas wizyt bywa z gumy. Z reguły rezerwuje się godzinę na jedną osobę, ale często ten czas nie wystarcza i dlatego między wizytami zostaje rezerwowe trzydzieści minut. Gdy rozwija się proces terapeutyczny, trudno spoglądać na zegarek i tam szukać pory na finał.

I chyba jest to robota perfekcyjna, bo na spotkanie do gabinetu zgłasza się lekarka, dwie nauczycielki, przedszkolanka, biznesmeni, przedstawicielki rodzin, którym udało się pomóc. Nie potrzebują ogłoszeń, kuszących reklam, bo pocztą pantoflową wiadomość idzie po mieście. Zestaw kwalifikacji Teresy Toczydłowskiej potwierdzonych dyplomami robi dodatkowe wrażenie: psycholog praktyk, terapeuta pedagogiczny, kinezyjolog, arteterapeuta, zawodowa położna...

Z rentgenem w oczach



Justyna S korzysta z zestawu MindSpa, poddając się jednocześnie terapii dźwiękami kamertonu.

W tle rozmowy płynie leniwym nurtem relaksacyjna muzyka. Justyna S. w specjalnych okularach na oczach (kanał wizualny z odpowiednią częstotliwością migotania) i w słuchawkach (kanał audialny z wybraną opcją dźwięków) poddaje się zabiegowi „SPA dla mózgu”, rodzajowi regeneracyjnego wypoczynku.

– Leżę zupełnie wyłączona z codzienności – relacjonuje. – Żegluję spokojnie gdzieś w Kosmosie. Dźwięki czy też wibrację bardziej czuję, niż słyszę. Jestem bezpieczna, wyciszona. Po wyjściu z kotła pełnego nerwów i pośpiechu, który jak zwykle miałam w pracy, jestem tu w jakby zupełnie innym świecie.

– A ja w tym czasie – wyjaśnia pani Teresa, realizuję swój plan w pełnym kontakcie z Justyną, jej organizmem i robię swoje. Mam do dyspozycji w MindSpa , urządzenie emitujące impulsy – rodzaj drgań w pewnych zakresach energetycznych i 12 programów o zróżnicowanych zadaniach, które dobieram opierając się na znajomości schorzeń, dysfunkcji i ogólnej charakterystyki organizmu pacjentki. Zaczynam z reguły od mniej więcej od oswojenia pacjenta z badaniem podczas dość płytkiej sesji relaksacyjnej w zakresie częstotliwości 14-10 herców.

Do tego dochodzą wnikliwe obserwacje postaci, zachowań, no i serdeczna, przyjacielska rozmowa. Wtedy rozluźnia się całe ciało, zaczyna „przemawiać”, udzielać wskazówek co do źródeł problemów, dysfunkcji. Łatwiej jest wtedy „coś szkodliwego z organizmu wyjąć”, usunąć blokady energetyczne, oczyścić ciało bądź jego element jak ranę, by je następnie doenergetyzować.

– Zabieg z kamertonem – tłumaczy Toczydłowska, to praca z wibracją dźwięków. Te akurat mają 64 herce. Ja używam kamertonu trochę jak lasera w miejscach, które trzeba pobudzić albo czasami coś w nich rozpuścić, zneutralizować. Wprowadzam uderzeniem energię, którą transmituję.

Interpretacja zjawisk zachodzących po tym wstępie brzmi nieco baśniowo: to tak jakbyśmy przywracali Justynie zdrową matrycę, oczyszczoną, wzmocnioną, zregenerowaną. I wtedy zdarzają się cuda, które polegają na samorzutnym uruchomieniu obronnych i witalnych sił organizmu. Poprawiają się relacje między ludź-

mi, wygasają pretensje, Znikają z wątroby torbiele, wchłaniają się guzy, z dnia na dzień przybywa przykładów.

Torbiele to przecież otorbione łyzy, niewypłakane i magazynowane w organizmie. Czasami dla odmiany są to pokłady gniewu, złości, niechęci, obaw, które nie znalazły ujścia i nagminnie zaśmiecają wnętrze naszej wątroby. Dla odmiany żale i tęsknoty bardziej obciążają nerki i osłabiają ich właściwości ochronne.



W trakcie niejednego badania widać, że emocji nagromadziło się co niemiara. Tyle negatywnej energii utknęło w pacjencie, że najwyższa pora uwolnić go od tych destrukcyjnych działań. W tym celu wspólnie próbują we dwójkę dociec sedna, uświadomić sobie sytuację, w jakich ruszyła destrukcyjna lawina, osoby, z którymi się wiązała, przyczyny szkodliwych emocji.

W zabiegu MindSpa generalnie chodzi o synchronizację obydwu półkul mózgu, by potrafiły ze sobą łatwiej współpracować. Jesteśmy zwykle nastawieni w życiu do korzystania z lewej, dla uproszczenia: bardziej logicznej, ściślejszej, pre-

czyjnie matematycznej. Druga półkula jest bardziej twórcza, artystyczna. Ich współdziałanie pomaga w lepszej koncentracji i pamięci, przywróceniu wewnętrznej równowagi. Odkryła to grupa młodzieży, która przed egzaminami usprawnia w ten sposób funkcjonowanie mózgu czy biznesmenów przed kulminacyjnym splotem istotnych zdarzeń i decyzji.

Po chwili już inna pacjentka – Marzena M dosiada „konika”. Tak nazywane jest urządzenie, na którym można wykonać masaż kręgosłupa w jego odpowiedniej pozycji. Masaż klasyczny, leczniczy i sportowy terapeutka połączyła tu w swoją specyficzną metodę, wykonując go przez ubranie lub bez odzieży, z użyciem olejków. Już podczas pracy tłumaczy sytuację i podłoże negatywnych zjawisk: w ciągu typowego dnia stale coś podnosimy, dźwigamy. Kręgosłup jest ciągnięty w dół, czasami na boki. Smutki i ciężary życiowe także eksploatują go ponad miarę. Chodzi więc o to, by kręgi, te nasze przeciążone wagoniki, podsunąć w górę, ustawić na właściwym torze, ustabilizować w optymalnej pozycji.

Pani Marzena już od 15 lat usprawnia swój organizm pod okiem Teresy Toczydłowskiej. Zaczęła się ta opieka, gdy pękła jej błona bębenkowa w uchu. Była przygotowywana w szpitalu do operacji przeszczepu, ale zdecydowała się oddać w ręce terapeutki, która zajmowała się nią wtedy z pomocą koleżanki raz w tygodniu. – No i kiedyś okazało się podczas wizyty lekarskiej – wspomina Marzena, że błona zrasta mi się w uchu kawałek po kawałku, co, jako ewenement medyczny, wywołało konsternację. Wkrótce zaczęłam dobrze słyszeć i tylko wzrosty kilku kawałków po uszkodzeniu zostały jako ślad dawnych problemów.

– Niedługo potem urodziłam syna – ciągnie. – Niestety, miał opadniętą nerkę. Dostaliśmy skierowanie do szpitala na operację. Wyniki usg, które zachowałam do dziś, nie budzą wątpliwości: miał rację lekarz, który stwierdził refluks w nerce. Zostało dziesięć dni do przedszpitalnych badań wstępnych i wtedy zostaliśmy oboje wyjątkowo częstymi gośćmi w gabinecie pani Tereski i...

Znowu konsternacja: gdy zgłosiliśmy się na zaplanowane trzy dni badań kontrolnych – ciągnie pani Marzena, stwierdzono, że nie ma podstaw do operacji. Lekarka nie potrafiła powiedzieć dlaczego problemy zniknęły, ale ja wiedziałam

już, że pani Tereska ma nieprzeciętny dar przywracania zdrowia. Potwierdziły to kolejne usg, które udokumentowały radykalną poprawę, dowiodły, że nerka jest na swoim miejscu i nic złego się z nią nie dzieje.



Marzena M. na „koniku” podczas masażu kręgosłupa w pozycji sprzyjającej osiągnięciu optymalnych rezultatów terapii.

Tak jest do dzisiaj, a syn pani Marzeny ma już 11 lat. Po prostu udaje jej się w porę włączać system alarmowy i pędzi na Chłopską jak na pogotowie. Kiedy młodszy jej synek przechodził ciężko zapalenie oskrzeli, stosowała antybiotyki, ale równocześnie „oczyszczanie Tereski”, żeby działanie leku było optymalne, bez skutków ubocznych i rekonwalescencja sprawna.

Gdy teraz z całą rodziną chodzą do kontroli lekarskiej, w kartach w przychodni wszyscy mają prawie samo zdrowie albo cudowne przypadki wyleczeń. Marzena M. zaś trochę te cuda inspiruje, gdyż z reguły konsultuje diagnozy i zaordynowane leki z Teresą Toczydłowską, do której ma pełne zaufanie i na której zdaniu ostatecznie się opiera.

Anioł nowej generacji

W jednopiętrowym domku schowanym dyskretnie w głębi ogrodu nie wyczuwa się ogromu tragedii z jakimi zgłaszają się przegrani, smutni ludzie. Tu nawet wystrój wnętrz pogłębia wrażenie spokoju, ciszy i dostatku kojących fluidów.

W sąsiedztwie recepcji dyskutujemy o tym z pacjentkami. Są jednomyślne, że zdecydowana większość dokuczliwych schorzeń należy do sfery psychicznej. Te stany depresyjne wynikają ze stresów, konfliktów zawodowych, burzliwych nieporozumień, jakich życie nikomu nie szczędzi. Są trudne do zidentyfikowania i bywają bagatelizowane przez lekarzy. Z trudem dają się nazywać, nie pasują do definicji typowych jednostek chorobowych. Ot, psychofizyczne dolki... A czas pogania, tłumek „prawdziwie chorych” z holu napiera na drzwi. Jak w tych warunkach szukać pomocy w pełni świadomości, że właśnie tworzy się podłoże wielu następnych problemów?

Kobiety nie mają wątpliwości: – Wtedy trzeba znaleźć Panią Tereskę. W zasadzie byłoby idealnie, gdyby, jak w bardziej cywilizowanych krajach, udawało

się łączyć różne rodzaje opieki i kompatybilne metody „akademickie” z naturalnymi. Badać, dokumentować i rozwijać obydwie kierunki. Do takiej fazy rozwoju jeszcze jednak nie dojrzeliliśmy.

Marzena pamięta jak wpadła kiedyś zaniepokojona do gabinetu: – Pani Teresko, coś się dzieje, czuję to, okres spóźnia się. – I nie będzie go, nie czekaj – usłyszałam. Ona już wiedziała, że jestem w ciąży. Ten drugi maluszek miał być córką. Nawet ostatni test na to wskazywał, ale naszej Tereski nie przekonał. Ona się nie myli, więc urodził się chłopiec.

Odruchowo odsuwam się trochę dalej: – Strach przy pani usiąść, bo nic nie da się ukryć.

– Przesada, nie wszystko odkrywam – skromnie protestuje terapeutka.

– Jak to nie? – upiera się pani Marzena: – Ja mówię, że nic mnie nie boli, a pani, że owszem, wskazując zresztą właściwe miejsce. Po prostu Anioł najnowszej generacji!

Z listu Beaty T. z Wybrzeża: „Znam ją od dawna, a od około 15 lat wspiera w razie zachorowań i nagłych dolegliwości mnie, moją rodzinę, przyjaciół, znajomych. Służy swoimi nadzwyczajnymi darami, a także wiedzą, jasnowidzeniem, jasnosłyszeniem, usuwaniem wszelkiego rodzaju guzów, zaburzeń psychicznych i fizycznych. Uzdrawia i pomaga wielu potrzebującym wspierając ich dodatkowo psychologicznie. Jest często przy swoich pacjentach duchowo, podczas ich zabiegów operacyjnych, ważnych wydarzeń życiowych, które przy jej wsparciu kończą się zawsze szczęśliwie”.

Korespondencja jest znacznie bardziej obszerna: „Nieraz jedna wizyta u Tery wystarczy, by pozbyć się dolegliwości dokuczającej przez lata i zyskać dodatkowo wiele sił i radości do działania. Jej ciepło, mądrość, a także energia sprawiają, że wychodzi się od niej z lekkością, nadzieją, ulgą. Zawdzięczam Pani Teresie kilkakrotne uratowanie życia, nawet na odległość... Bo bilokacja jest dla niej w ratowaniu ludzi czymś naturalnym. I więc z pacjentami także. Wielokrotnie sama mnie uprzedzała o grożącym niebezpieczeństwie. Jestem jej wdzięczna i

wiem, że takich jak ja są już setki, ale nie mają odwagi o tym mówić, a tym bardziej pisać(...)"

Z korespondencji internetowej od Mai M, która miała operowany nowotwór piersi i obecnie, przy chemioterapii, korzysta z zabiegów wzmacniających na odległość (styczeń 2013): „Teroko, jestem u przyjaciółki, która była ze mną u Ciebie na terapii. Mój organizm wraca do formy w niebywałym tempie. To po prostu niesamowite. Nie jestem przesadna, ale chyba odpukam. Piękne dzięki także za uporanie się z moimi typowymi bólami refluksowymi, na które tylko Ty miałaś skuteczną receptę. Ciągle kuruję się w Szwajcarii i już tydzień po chemioterapii czuję się całkiem dobrze(...)"

Z listu: „Poleciłam ostatnio panią Tereskę mojej koleżance z guzem w jajniku. Była zrozpaczona. U lekarza sugerowano jej jak najszybsze wycięcie narządów kobiecych. Po trzech sesjach telefonicznych z poradami i sugestiami kobieta całkiem wyzdrowiała(...)"

Emilia Grodzka zajmuje się sprawami administracyjnymi i jest jednoosobowym wielofunkcyjnym biurem firmy Teresy Toczydłowskiej. No i sama korzysta z wiedzy i doświadczeń właścicielki. – Relacje mamy towarzyskie, bardzo sympatyczne – mówi – a choroby nikogo nie oszczędzają, toteż i ja czasami zamieniam się w pacjentkę. – A później, już wykurowana i pogodna zamieniam się pani w żywą reklamę skuteczności firmy – dodaje, wykonując zdjęcie.

– Żarty żartami, ale niektórzy traktują mnie trochę jak psychologa i żywy drogowskaz w życiowej wędrówce – uśmiecha się Emilia. – Widzę jak przychodzą ugięci pod ciężarem kłopotów, smutni, spięci. A gdy już się przełamają, zaczynają się otwierać, mówić o swoich problemach, poddawać masażowi, akupresurze czy innym zabiegom, zaraz widać u nich radykalną zmianę. Nie muszę o nic pytać, bo uśmiechają się, prostują sylwetkę. Zaskoczeni bywają, nawet oszołomieni, że już podczas pierwszego spotkania odważyli się powierzyć pani Teresie zdrowotne, zawodowe czy rodzinne sekrety, z którymi nie dawali sobie rady. Zjawiają się nie tylko białostoczanie, ale też mieszkańcy różnych zakątków Polski, nawet goście z

zagranicy. Opowiadają, że lekarzom opadły ręce, a oni chcieliby jeszcze jakoś pożyć. Ktoś ze znajomych nie mógł się nas nachwalić i stąd ta osobista wizyta.



Emilia Grodzka podczas zabiegu lampą Bioptron

Barbara z Trójmiasta pisze: „Bardzo długo wegetowałam w „uśpieniu” i nie czułam, że żyję. W sercu miałam pustkę, byłam zimna, nie liczyłam się z uczuciami innych. Miotaly mną emocje, których nie potrafiłam nazwać. To dzięki Pani Teresie zmieniam się ja i zmieniają się ludzie wokół mnie. Nauczyłam się ufać, szanować drugiego człowieka. Czuję, że jednak potrafię przyjąć i ofiarować miłość, być lojalnym przyjacielem. Zaczynam pomału poznawać siebie, akceptować swoje niedoskonałości; wiem już, że nikt, na szczęście, nie jest idealny. Mam 46 lat a znajduję się dopiero na początku swojej długiej drogi. Dziękuję z całego serca

Pani Tereso za odnalezienie swojego Drzewa Przebudzenia. Nigdy o tym nie zapomnę.

Rośnie zainteresowanie niekonwencjonalnymi, ale skutecznymi metodami, które niegdyś pani Teresa stosowała i opisywała pod pseudonimem Tery Anter, a dziś rozwija w swojej poradni. Oto zgłasza się babcia zmartwiona o wnuczkę. To znów – dla odmiany – biznesmen znajdujący w gazecie lub w internecie jakiś artykuł Teresy Toczydłowskiej, który go zaintrygował. Na przykład treścią wystąpienia terapeutki na sesjach w Kołobrzegu pod hasłem „Rozwój – zdrowie – choroba” w 2002 czy 2004 roku albo na ogólnopolskiej konferencji psychologii rozwojowej. Czasami zajrzy pełen niepokoju lekarz, który nie przyzna się w pracy, że zafascynowały go „czary”, kiedy wpadła mu w ręce książka pani Teresy, a w ucho audycja radiowa z jej udziałem, gdy prowadziła warsztaty z artterapii.

Emilia Grodzka poddaje się dość znanemu zabiegowi koloroterapii lampą Bioptron. Wie, że każda barwa to inny zakres częstotliwości i inny rodzaj oddziaływania, np. niebieski – przeciwzapalnego. Za chwilę skorzysta jeszcze z mniej znanych technik. Inni pacjenci też spodziewają się zastosowania niekonwencjonalnych przyrządów, których wykorzystanie wprzęgnięte jest w autorskie programy terapeutyczne pani Teresy. I potwierdzają, że to działa, chociaż w sposób dla nich niepojęty.

– Ludzie zmieniają się tutaj nie tylko wizualnie – zwraca uwagę Emilia Grodzka leżąc już na materacu. – Po kilku spotkaniach modyfikuje się ich tok rozumowania, temperament, nastawienie do otoczenia, reakcje, pojawia się życiowa zaradność, a na twarzy uśmiech. Gdy w pewnej chwili poczują się jeszcze niezbyt pewnie, korzystają z telefonu albo piszą maile.

– Rzeczywiście – przyznaje pani Teresa. – Zdarza się, że ktoś prosi tą drogą o dodatkowe wskazówki albo o pomoc dla dziecka. Kiedyś dostałam wiadomość, że w szpitalu, w stanie prawie agonalnym, leży...

Beata Tuszyńska z Gdyni tak pamięta ten dramatyczny moment: „Wysłałam jej maila, że „moja znajoma ma wylew i jest w stanie ciężkim na oddziale”, a

Tereska całą noc z dystansu pracowała nad chora, regeneracją jej komórek mózgowych i rano cud zaskoczył lekarzy: tak szybko kobieta wracała do zdrowia”.



Gniazdo ptakoterapii

Z korespondencji: „Od paru lat Teresa Toczydłowska zajmuje się nowatorską metodą – kuroterapią. Usuwa nią lęki, poprawia relacje międzyludzkie itd. Jest hodowcą wyjątkowych kur, które mają zmienione DNA, po 5 palców, jak u człowieka, a ich jaja wykazują wyjątkowe wartości odżywcze i regenerujące organizm oraz leczące zaburzenia DNA. Uważam, że niewiele jest w Polsce tak wyjątkowych osobowości. Niech świat dowie się o jej osiągnięciach, często udokumentowanych, a zawsze efektywnych”.

Zaczął się – jak to bywa – prozaicznie i przypadkowo pięć lat temu. Pora była wakacyjna, podwórko ozdobione kurami. Mama autystycznego chłopca, która przysłała po poradę dla siebie, wskazała na ptaki: – Popatrz, Kubusiu, na te kurki, czego one szukają na trawniku? Są takie kolorowe!” Po chwili zajęła się dialogiem z terapeutką, kątem oka obserwując jak chłopiec podchodzi do stadka i następuje jego niespotykane ożywienie: kury pogdają, malec próbuje powtórzyć te dźwięki, wyciąga dłonie, wędruje za ptakami. Kobiety stały zaskoczone, bo do tej pory z Kubusiem niemal nie było kontaktu, a jego reakcje okazywały się nader skąpe. Teraz zaczął nadzwyczaj intensywnie odbierać bodźce z otoczenia.

– Podczas następnych kilku wizyt, już z pewnym planem – wspomina pani Teresa – próbowałam rozwinąć w dziecku te zachowania, które tak znakomicie zmanifestowały się uprzednio. Z relacji mamy wynikało, że lekarze prowadzący dostrzegli wyraźną poprawę, ale chyba nie mniej ważne było nastawienie samej tej kobiety. Ona traciła już nadzieję, że coś zmieni się na korzyść i nagle ten impuls jakby ją uskrzydlił. To był przełomowy moment dla całej rodziny. Bo przecież maluch pozostaje niejako w energetyce rodziców. Jeśli mają swoje obawy, niepokoje, stresy, nie muszą nawet tego wypowiadać czy okazywać. Dziecko to czuje i przeżywa, chociaż nie rozumie.

– Nie rób ze mnie durnia! – obruszył się znajomy medyk, któremu wspomniałem, że „Radiowa Trójka” już dawno puściła w eter wiadomości o niecodziennym, chyba pierwszym w kraju, programie autorskim Teresy Toczydłowskiej, który nazwano kuroterapią.

– To chyba kurza ślepotą albo przynajmniej zaślepienie – zrecenzował do szczętnie ową nieznaną sobie, oryginalną technikę.

– A nagrania radiowe z jej sesji terapeutycznych np. „Pomóż sobie – twoja tablica przemian” albo „Pomóż swoim marzeniom”? Może najpierw wysłuchaj choć fragmentu – nie dawałem za wygraną.

– Z czarów już dawno wyrosłem – usłyszałem stanowczy argument.

Pani Teresa nie zraża się kpinami dyletantów, hermeticznie odizolowanych od poznawczych funkcji nauki. Opracowała swój program usprawniania psychofizyczności dzieci i dorosłych poprzez terapię z ptakami – kontaktową albo

obserwacyjną, z dystansu. Wprowadziła zajęcia uzupełniające proces rehabilitacji, podczas których zmienia się stan emocjonalny pacjentów, budzi się ciekawość świata przyrody i kontaktów z nim w zdrowy, zrównoważony sposób.



Nie ma więc w tym nic zaskakującego, że emocje wracają do równowagi, a od-stresowujący relaks regeneruje organizm i w pożądanym sposób kształtuje funkcje poznawcze. Pod okiem fachowca ćwiczona jest koncentracja, spontaniczność, sprawność ruchów w naśladownictwie. Kształtowane są nawyki higieny, samodzielności w karmieniu, pielęgnacji, odruchowego, empatycznego reagowania na potrzeby zwierząt i środowiska.

– Latem wiele osób woli czekać na spotkanie ze mną na podwórku, obserwując zachowanie kur. Przemawiając do nich, kontemplując barwy i upierzenie, wyciszają emocje – mówi Teresa Toczydłowska. – W kontakcie z ptakami przełamują lęk, który trwał w podświadomości wielu z nich od dzieciństwa.



Pogaduszki z napuszczonym kogutem dumnym ze swojej odpowiedzialnej roli i zainteresowania niekoniecznie kulinarnego.

Po chwili obserwacji pojawiają się nowe zabawne albo pouczające skojarzenia. Wystarczy spojrzeć na Księcia z czubem, gęstą brodą, jak dostojnie kroczy unosząc z wdziękiem łapki. Ruchy głowy znamionują bardzo ważną osobistość, która zna swą pozycję na podwórku, jak pewien VIP, który wystudiował przed lustrem ruchy i odruchy, żeby zagrać czołową rolę w samorządzie. Księżę chciałby pewnie szybko zapomnieć, że wywodzi się z lekko tylko podrasowanych czubatek polskich. Łapki ma włochate i trochę innych domieszek. Wygląda to, jakby z jego mamą flirtował kiedyś pan Pawłowski, lokator z sąsiedniej klatki, zostawiając genetyczne ślady przypominające wtrącone tu i ówdzie pióra głuszca czy opierzone stopy.

Przy otwartych oknach słysząc z kurnika pianie koguta i serie gdakań. Warto zobaczyć z bliska tę menażerię, bo jest niecodzienna. Od wystawowych czempionów z medalami po przygarnięte, sterane życiem osobniki. Kury japońskie, chińskie, indiańskie, uratowane przed zaniknięciem rasy kury pawłowskie z malowniczymi irokezami na łebkach. Znaczący zagadnienia dopatrują się w nich prekursorskich cech, które dały początek kurom czubatym, a może i głuszcom. Prakury – dinozaury, które znoszą jaja znakomite dla alergików? Fakt, że fascynują urodą i zwyczajami, potrafią przelecieć kilkanaście metrów i usadowić się wysoko na drzewie, demonstrując modę z ptasich żurnali, ale Teresa Toczydłowska próbuje spożytkować ich nieznaną dotychczas rolę.

– Lekarz – Anita S. nie ujawni w swoim środowisku, że była tu wielokrotnie z córką Weroniką. I tak miała mnóstwo kłopotów przez inne swoje zainteresowania – homeopatią. Na podwórku ANTER-u jej córeczka spontanicznie reagowała na kolorowe stadko, a już nawiązywanie znajomości z czeredą piskląt trudno było przerwać. Zresztą dzieciaki zawsze chętnie obejrzą jeszcze piękne, wydaje się, że celowo dekorowane zielono-niebieskie jajka. Albo różowawe, jakby dla kontrastu, u czarnych niemal kur rasy araukana. Wtedy przyjaźnie mrowane. Niejako przy okazji zaś...



Chwile rozmowy gospodyni z panem Pawłowskim, rasowym kogutem, podsluchiwane przez zaniepokojoną partnerkę.

To ujarzmianie czy też oswojanie przyrody i wprzęgnięcie jej w terapeutyczne programy zaczęło się epizodem w wieku bodaj 11 lat. Przyproceedziła wtedy zbaronialemu sąsiadowi jego własnego konia, który z jakichś powodów dostał amoku, szalał po obejściu i nie dał się nikomu zbliżyć. Wzrostem nawet nie sięgała wtedy zwierzęciu do pyska, więc trudno powiedzieć że powiedziała mu coś miłego na ucho. Potem trzymając w garści koniec długiej grzywy przyproceedziła je spotulniałe do stajni.

– Nikt dziś już nie puka się w czoło na hasło hipoterapia, dogoterapia – nawiązuje do współczesnego postępu pani Teresa. – Koty też mają swoją rolę do spełnienia. A ptaki nie są gorsze w takich leczniczych funkcjach, tylko trzeba to zauważyć i docenić.



W oczekiwaniu na pacjenta poddawanego zabiegowi ptakoterapii.

W tym kontekście wróćmy na chwilę choćby do blokad na tle lękowym. Ileż osób w dzieciństwie bywało zaatakowanych przez pobudzonego koguta, co – zanim ktoś przybiegł na pomoc i przegnał go – pozostawiło trwałe ślad w psychice. Zwłaszcza czerwony strój małowata, kojarzący się ptakowi z barwą konkurenta, może wywoływać u niego agresję.

Teresa Toczydłowska dobrze pamięta pacjentkę, która jako dziecko została poturbowana przez indora i odtąd panicznie bała się nawet przelatujących tuż nad głową gołębi, które w miastach, szczególnie gdy są dokarmiane, bywają dość natchalne. Idąc ulicą aż przysiadła z niepokoju, kiedy podświadomość, chcąc ją chronić przed powtórką epizodu z dzieciństwa, wyzwalała w niej instynktowne odruchy samoobrony z obawy przed ptakami. Te fobie udało się definitywnie usunąć.

– Trzy lata eksperymentów pozostawia już pewien satysfakcjonujący dorobek – mówi terapeutka – i sporo przykładów. Przygarnęłam kiedyś starego koguta. Chwiał się na nogach, huśtał i nie bardzo mógł ustać. Miałam wtedy pacjentkę, w której mąż alkoholik wywoływał niezmiennie mieszaninę złości i nienawiści. Na sam jego widok gotowa była eksplodować. Zaprowadziłam ją kiedyś w pobliże klatki, pokazałam kiwającego się na nogach koguta i mówię:

– Proszę spróbować spojrzeć na pijanego tak, jak na tego ptaka.

– Ma pani rację, chwieje się identycznie! – zaśmiała się. – I tak jej się ten widok utrwalił, że na widok „zawianego” męża, który rozkołysanym marynarskim krokiem telepał się przez przedpokój objając się o ściany, zaczęła wybuchać śmiechem.

Gdzieś podziały się odruchy gniewu tej kobiety, która po pewnym czasie zgłosiła się z gorącymi podziękowaniami: – Nie tylko ja wyzdrowiałam. Mążnek przeprosił mnie, powiedział, że nie wytrzymał presji. Poczul się wyśmiany i przegrany, no i przestał pić! Teraz prowadzi dobrą, renomowaną firmę. Łatwo powiedzieć „przestał pić”. Proces wyzwiania się z nałogu jest niezwykle trudny.

– Nie wierzy pan co może zwykły drób? Tego koguta jeszcze mam, można go zapytać o satysfakcję z dobrej roboty – kusi pani Teresa. Idziemy więc do kur-

nika rozmawiając o tym, jak ważna bywa w świecie ptasich kontaktów zdobywana przy okazji wiedza o prawach natury i zwyczajach, wcale nie tak odległych od ludzkich zachowań. Pobudzane są kompleksowo zmysły słuchu, wzroku i dotyku.

Kogucik kochinek wygląda jak puchata kuleczka, ale nie z zabawką się kojarzy. Można podpatrzeć jak kształtuje relacje w swoim stadku, żeby z pożytkiem wiedzę tę wykorzystać w ludzkim świecie. Gdy coś jego kurki spłoszy, załęcznione chowają się pod jego osłonę. Rozpościera wtedy swoje pióra, a one chowają pod nie łebki i uspokajają się. W tym czasie głowa rodziny bacznie obserwuje otoczenie czy nie trzeba interweniować dziobem i pazurkami, żeby odpędzić intruza. Podobnie angażuje się w opiekę nad pisklętami. Kochinki znakomicie ilustrują podział ról i funkcji w rodzinie. Aż chciałoby się te naturalne powinności w zakresie obowiązków przenieść do niektórych chorych związków, gdzie np. ojciec uznając, że się dość napracował w procesie prokreacji, za najważniejszą swą powinność uważa codzienny wymarsz na piwo z kolegami.

Imperatyw z zaświatów

Kiedy właściwie wyklarował się definitywnie ten niezwykle wybór profesji, którą zdefiniować trudno, ale trudno też nie docenić?

– Nie miałam wtedy jeszcze 23 lat – nawiązuje do traumatycznych, ale i znamienych wydarzeń Teresa Toczyłowska. – 13 sierpnia jechaliśmy samochodem z moim tatą i dwoma braćmi, siedzącymi z tyłu. Prowadził kolega, który odwoził mnie z dyżuru w białostockim szpitalu, gdzie pracowałam jako położna. W deszczu i zapadającej szarówce, na łuku drogi przed wzniesieniem, roztrzaskaliśmy się na poboczu. Pamiętam tylko odgłos gwałtownego hamowania i łoskot uderzenia.

Potem... *Widziałam z góry zmiażdżony samochód, a w nim swoje ciało.* Bez wątpienia przyglądałam się sobie samej zakrwawionej, pokiereszowanej. I ciałom innych podróżujących ze mną osób. Pognieciona karoseria nie stanowiła

żadnej przeszkody, bym mogła zobaczyć każdy szczegół przenikając materię. Byłam gdzieś poza, ale ogarniając równocześnie wnętrze i całe otoczenie. Czułam się zanurzona w błogości, stanie uwolnienia, ale i pełnej wiedzy, bo na każde pytanie natychmiast znajdowałam odpowiedź. Nie, informacje nie były podawane takimi zdaniem, jakimi teraz wyrażamy swoje uwagi, ale w jakiś sposób do mnie trafiały i nie pozostawiały cienia wątpliwości czy niedosytu wiadomości. Mówię o tym ze zdziwieniem, bo gdy wróciłam *stamtąd*, nawet uruchamiając wyobraźnię i wszystkie możliwości, nigdy takiej dogłębnej wiedzy nie doświadczyłam.

Nagle jakbym dopiero uświadomiła sobie, że jestem *gdzieś poza, w innym stanie*, a w dole leży moje ciało, poczułam odruch buntu. Jeszcze czuję jego gwałtowność: „Ja tam... jeszcze nie teraz... jestem potrzebna, coś zostało do zrobienia... Nie wiem jak to nazwać: bezgłośnym sygnałem, przebłyskiem świadomości? W każdym razie usłyszałam wyraźnie: – *To wracaj i wykonaj swoje zadanie!*

W karetce zaczęła budzić się do życia, a definitywnie ocknęła się już w szpitalu. Ktoś w fartuchu podszedł do niej z morfiną. – Co to jest? – spytała.

– To lek, żeby nie bolało.

– Mnie nic nie boli, nie chcę – wyszeptwała.

Żmudna i nudna rekonwalescencja miała swoje zaskakujące epizody. Kiedyś spytała mamę podczas odwiedzin: – Co tam u taty, jak jego szczeka?

Była zaskoczona. – Skąd wiesz o tym?

– No przecież w dwóch miejscach mu ją złamałam. Podczas kraksy najpierw uderzyłam głową o szybę, odbiłam się, a później – w twarz taty.

– Taka córka!” – rzuciła z udawaną reprimendą. „– Ale skąd o tym wiesz?

– A ja sama do dziś nie wiem skąd.

– Bratu zszyli głowę? – indagowała wtedy dociekliwie.

– Kto ci to mówił? – chciała wiedzieć coraz bardziej zaintrygowana mama.

– Jak to, przecież sama widziałam... – rzekłam odruchowo zanim dotarło do mnie, że widzieć tego nie mogłam.

Pani Teresa inaczej dziś obiera tamte traumatyczne zdarzenia: – Towarzyszyło mi jeszcze długo głębokie odczucie tęsknoty, żeby zachować trochę tego stanu upojenia w formie jakiegoś daru, życiowej wskazówki. Może zresztą nie wszystko uleciało, bo przecież po dramatycznym wstrząsie zupełnie zmieniło się moje życie. Wypadek jakby tchnął we mnie ciekawość penetracji i łączenia takich dziedzin jak artterapia, kinezyterapia, dotyk dla zdrowia, psychologia i wielu innych, które poznawałam i których kompilacje zaczęłam stosować w formie autorskich programów. Na wybór niektórych wskazanych kierunków zdecydowałam się już znacznie wcześniej, przed uniwersyteckimi studiami psychologii czy położnictwem, które było mi zawsze bardzo bliskie. Jednak do, często bezinteresownej, pomocy innym w formie holistycznego podejścia do pacjentów i rozwijania dziesiątków metod czy technik, dojrzałam chyba właśnie wtedy.

Faktem jest – konkluduje Teresa Toczyłowska, że tragedia na tamtej drodze dała impuls mojej drodze zawodowej, którą zdecydowanie skorygowała i... drodze prywatnej. Pechowy kierowca został moim mężem.